

*Dwa plany*

Pan prezes starał się uśmiechać uroczo i zachować spokój. Właśnie przed chwilą zaskoczono go celnym pytaniem, postawionym wprost. Odpowiedź dyplomatyczna nie przychodziła łatwo, ale wreszcie przyszła i odpowiedział:

— Ja wiem, że dostałbym najwięcej oklasków, jako lubiany i popularny człowiek w tym osiedlu, gdybym podjął decyzję przeciwko domkom. Ale nie mogę z państwem rozmawiać, że dobrze, dobrze, a potem każdego unikać.

Ta odpowiedź się nie spodobała, ale przyjęta została w miarę życzliwie. W ogóle prezes miał trudne zadanie tego wieczoru. W sali szkolnej w Osiedlu im. Sienkiewicza Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, w upalny wieczór 7 sierpnia w poniedziałek zebrało się około dwustu mieszkańców bloków stojących przy ulicy Wołodyjowskiego. I wobec tych ludzi prezes spółdzielni miał podjąć, już teraz, decyzję ostateczną. Tak sobie to wyobrażali zebrani.

Zaskoczyli prezesa metodą podstępą — zdemokratyzowali go. Ustawili tak, by był od początku za nimi, by był ich człowiekiem. Dali mu do zrozumienia, że w zasadzie on jest tego samego zdania, co oni. Ale prezes nie był tego samego zdania.

— Ja obiecuję — powiedział — że osobiście zrobię wszystko, by materiał z tego zebrania dotarł tam, gdzie trzeba.

— Sam to mogę zanieść — rzucił ktoś z sali.

— Uważam za właściwe — kontynuował prezes — załatwienie tego rodzaju spraw tak, jak my załatwiamy tutaj. Natomiast wszelkie ekscesy...

— Wyście pierwsi zrobili ekscesy — przerwał ktoś z tłumy lubianemu prezesowi, a on stropił się na sekundę, ale ciągnął dalej.

— Proponuję, byśmy nasze sprawy załatwiali jak dziś — dyskusją.

Te słowa były aluzją i oskarżeniem i prośbą zarazem. Aluzja do wydarzeń zasztych w osiedlu przed czterema dniami.

W ubiegłym tygodniu w środę obok budynków mieszkalnych przy ul. Wołodyjowskiego pojawiła się grupa robotników budowlanych. Przywieźli ze sobą tradycyjny barak przenośny, wyglądający jak sportowa wersja wozu Drzymały, kłęby siatki ogrodzeniowej i kilkadziesiąt pali drewnianych.

Pale drewniane zaczęli wbijać w trawę tąki za blokami, co oznaczało organizację placu budowy. Rząd słupów stanął dwadzieścia metrów od okien i balkonów, więc mieszkańcy zainteresowani wydarzeniem rozgrywającym się w bezpośredniej bliskości, zaczęli wychodzić z mieszkań i dopytywać robotników, jakie to plany budowlane mają tu być urzeczywistnione. Pytania stawiano z wielką ciekawością, albowiem wszystkim wiadome było, iż na tym kawałku placu stanąć miało od trzech lat oczekiwane przedszkole. Przynajmniej widniało ono w planach. Ciekawscy mieszkańcy dowiedzieli się jednak, że to nie przedszkole ma być budowane, a domki jednorodzinne. I po tej właśnie wiadomości ciekawość zamieniła się w niechęć.

Następnego dnia wieczorem, gdy robotników już nie

było, przed dwa bloki wylegli prawie wszyscy mieszkańcy. Wiadomość o domkach przebiegła wszystkie klatki schodowe budynków nr 3 i 7 przy ul. Wołodujowskiego. Z bloku nr 5 nie przyszedł nikt, bo tego bloku nie ma przy ulicy. Numerem 5 oznaczone miało być przedszkole nie istniejące dotychczas.

Atmosfera dyskusji przed blokami stawała się coraz gorętsza. Aż wreszcie, gdy po różnorodnych przypuszczeniach: czyje to mają być domki, jakiego typu, ile mają kosztować — tego wszystkiego nie wiedziano dokładnie — gremium uświadomiło sobie, iż na domki nie zgadza się nikt z zebranych i ruszono do czynu.

Czyn był krótki, wyrwano poustawiane słupy. Odbyta się jeszcze dyskusja, podczas której ustalono, że sprawę należy omówić, zrobić zebranie, wezwać prasę i telewizję, skierować się do kierownictwa spółdzielni i że wszyscy zainteresowani spotkają się w poniedziałek po wolnej sobocie w sali szkoły podstawowej.

Spotkali się. Z szyb drzwi klasowych śmiały się do zebranych zwierzątka z filmów Disneya. Ale oni byli poważni. Brawami powitano prezesa LSM, architekta wojewódzkiego, architekta miejskiego, dyrektora Inwestprojektu — czyli roboczy skład, jak powiedział prezes, do przedyskutowania problemów zaistniałych od ubiegłego czwartku w osiedlu.

Porządek zebrania ustalono tak, by najpierw przedstawił sytuację architekt główny województwa lubelskiego, potem żeby mówił dyrektor Inwestprojektu, a potem pytania z sali i dyskusja. Pierwszy mówca, na podstawie planszy podstawowej w skali 1:2000, zaczął omawianie zasad zabudowania terenów Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Powiedziane zostało najpierw, że plan zabudowy Osiedla im. Sienkiewicza i Konopnickiej zatwierdzony został we wrześniu 1971 r., że w dotychczas zbudowanych osiedlach dzielnicy LSM mieszka 50 tys. ludzi,

że w dzielnicy Czuby powstającej na polach za ostatnim osiedlem LSW, czyli właśnie „sienkiewiczowskim”, mieszkać będzie ponad 50 tys. ludzi; że w związku z tym za blokami ulicy Wołodujowskiego usytuowano park, nawet większy niż to przewidywały normatywy, bo tereny zielone są potrzebne; przyjęto zasadę, jak w innych osiedlach, by opierając się na istniejącej infrastrukturze zapętnić zabudowę blokową domkami jednorodzinnymi; że tak się buduje we wszystkich krajach.

Potem omówione zostały znaczenia kolorów na planszy — co oznacza czerwony (usługi), co fiolet (baza komunalna, już istniejąca), co szary (parkingi), co zielony — z tym, że jeszcze wymieniono, co oznaczają kawałki zielonego, wydzielone na planszy czerwonymi obwódkami — właśnie te domki.

Potem architekt wojewódzki zaczął omawiać szczegółowe zasady funkcjonowania poszczególnych ciągów pieszych, przejazdowe, zabudowy usługowej — głównej arterii dzielnicy, aż podniosły się głosy, żeby mówić na temat. Architekt zawahał się przed dalszymi wyjaśnieniami, a na jego łagodnej twarzy pojawił się cień zdenerwowania. Spokojnie do tej pory dokumentował logikę i sens w realizacji poszczególnych faz zabudowy osiedla, a domagano się od niego mówienia wyłącznie o domkach jednorodzinnych.

Z końca sali młody mężczyzna poprosił o wyjaśnienie, kto plan sporządził, kto zatwierdził i kto zmienił, bo wydawało mu się oczywiste, że pierwotnie na planie domków nie było. Wypowiedź architekta przerywano innymi dopowiedzeniami i komentarzami. Nie szło mu łatwo, ale wreszcie dobrnął do momentu, gdy stwierdził, że budowa domków jednorodzinnych jest drugim etapem realizacji zabudowy osiedla. Wówczas wśród szemrań na sali dały się słyszeć głosy zdziwione, że mówi się o dwóch etapach budowy. Jak gdyby wcześniej nigdy o czymś podobnym nie słyszano.

Nastąpiło poruszenie na sali, a spośród ciasno ustawionych rzędów wstał mężczyzna, by opowiedzieć o tym, jak mieszkańcy bloków, gdy sprowadzali się do nich, pytali czy będzie budowane coś za oknami ich domów, czy nie. Otrzymywali odpowiedź, że nic więcej oprócz przedszkola i parku. Dopiero za tym parkiem miały zaczynać się Czuby. Wielu z zebranych podpowiadało, że specjalnie wybierali sobie te mieszkania, bo bloki miały stać w bezpośrednim sąsiedztwie parku i blisko miało być dzieciom do przedszkola. Sypnęły się półgłosem czynione potwierdzenia.

Wówczas architekt wyjaśnił, że w jego pracowni uzgodniono, że może w osiedlu stanąć jedno przedszkole na 240 dzieci, miał dwóch po 120 miejsc i że wygoda dzieci zależy wyłącznie od projektu. A projekt może być znakomity, bo są naprawdę dobrzy architekci.

Uwaga sali skupiała się jednak na domkach i na tym, czy rzeczywiście ich projekty były w planie pierwotnym. Padła z sali propozycja, by przynieść tu plan osiedla w skali 1:500, gdzie widać będzie wyraźnie poszczególne domy, alejki, ukształtowanie terenu i to, czy tam są wyrysowane domki jednorodzinne. Ktoś pobiegł po plan 1:500.

— Czy państwo chcecie nas przekonać, że nie mamy racji? — zapytał architekt wojewódzki.

Prezes, by uspokoić entuzjazm i gorączkę na sali, by wypowiedzi oficjalne nie były przerywane dyskusją nie zorganizowaną, powiedział, że on wykazuje hart ducha i pozostaje, mimo upału na sali, w marynarce.

Zebrani przy planszy przedstawiciele czynników oficjalnych wyjaśniać poczęli, że gdy plan zabudowy osiedla powstał, nie istniały projekty włączenia domków jednorodzinnych, ale, że potem zapadła decyzja, żeby osiedla wielorodzinne łączyć z jednorodzi-  
ninymi.

Ktoś rzucił z sali. — Ale nie dwadzieścia metrów od bloków.

Prezes wstawał co chwilę, by uciszyć salę i by przy okazji wyłowić jakiś problem spośród chaotycznie rzuconych pytań. Jedno dotyczyło przyszłych mieszkańców domków jednorodzinnych. Ta sprawa w czwartek na zebraniu pod blokami była dyskutowana i snuto różne przypuszczenia. Teraz prezes znalazł dobrą chwilę, by wyjaśnić, że budownictwo jednorodzinne za osiedlem „sienkiewiczowskim” jest spółdzielcze i że stawia się je bez wskazywania, kto tam będzie mieszkał. Otrzymał za to brawa.

Dla prowadzących zebranie sytuacja stawała się trudna. Mieszkańcy nie oczekiwali już rewelacji od następnych mówców. Każdy chciał się wypowiedzieć jak najszybciej. Wszyscy chcieli by racje, wygłaszane w czwartkowy wieczór, teraz padły na oficjalnym zebraniu.

Prezes zrećnie wyłowił następne pytanie z chaosu na sali. Ktoś chciał wiedzieć, dlaczego budowlani tak szybko weszli na teren za blokami. Prezes wyjaśnił, iż wkroczone w trybie awaryjnym, by szybko dać przedsiębiorstwu front robót.

— To dlaczego w ciągu trzech lat nie zbudowano równie szybko przedszkola? — zapytał mężczyzna, który już przedtem mówił, że ma dwuletnie dziecko i że przedszkole w następnej pięcioletce nie będzie mu potrzebne. Na użytek chwili to jego oświadczenie część zebranych przyjęła skwapliwie, ale niektórzy wątpili z przekąsem w szczerść tych ojcowskich deklaracji.

— My przedszkoli nie budujemy — odrzekł prezes — przedszkola budują władze miejskie.

W dyskusji pierwsza głos zabrała nauczycielka z osiedla. Powiedziała, że budowę rozpoczęto, gdy potowa ludzi z bloków jest nieobecna, bo na urlopach. Na te słowa z sali rozległy się głosy, że faktycznie jest tu mniej obecnych niż by mogło być, gdyby nie lato. A ktoś chcąc wzmocnić siłę tego argumentu, zapropono-

nowat podobne spotkanie ze wszystkimi mieszkańcami osiedla. Drobnostka — około dwa tysiące ludzi.

Nauczycielka powiedziała dalej, że budowlani weszli na teren wielokrotnie porządkowany w czynie społecznym i że mieszkańcy powinni wiedzieć, co tam się robi. Trafita bezbłędnie w odczucia samorządowe zebranego gremium. Dowodziły tego liczne potakiwania.

— A tymczasem nie ustawiona została tablica informacyjna — znów trafita celnym argumentem.

Następnie uniosta w dłoni ilustrowany folder o LSM, wydany w ubiegłym roku, gdzie nie było ani słowa o domkach jednorodzinnych na terenie przyszłego parku. Zapytała też, dlaczego takie zebranie nie odbyło się przed wejściem budowlanych na plac. Za to pytanie dostała brawa. Gdy umilkły oklaski, dodała, że przedszkole jest konieczne, bo tysiąc dzieci młodych małżeństw z dzielnicy ma złe warunki do zabawy, a jeszcze ma się im zabrać kawałek zielonych terenów. Na koniec stwierdziła, że mieszkańcy nie są przeciwni domkom jednorodzinnym, byleby te domki nie były kością niezgody. W tym celu należy je stawiać na innym terenie.

Po nauczycielce wstał postawny mężczyzna w niebieskiej koszuli i skrytykował opieszałość w dostarczeniu na salę planu 1:500, który powie więcej niż plan-sza podstawowa, a co do tej ostatniej to nie jest kwestią, czy czerwone obwódki na zielonym zostały niedawno dorysowane, lecz że ważne jest, iż jak będzie jedno przedszkole, a zdarzy się epidemia, to usług przedszkolnych w osiedlu nie będzie.

Potem podkreślono kapitalną funkcję rekreacyjną dla dzieci i dorosłych, jaką spełniają i mają spełniać tereny przyszłego parku. Znów stwierdzono, że domki należy przesunąć — co najmniej o 80 metrów w dół kotłiny za Osiedlem im. Sienkiewicza, na ostonecznioną skarpię pozostawić park.

Ktoś zapytał prezesa uwikłanego w wyjaśnienia, czy

reprezentuje interesy wieluset rodzin, czy kilkudziesięciu, mających mieszkać w domkach.

Potem energiczny młody mężczyzna stwierdził, że gdyby ten problem był rozpatrywany nie tylko przez władze administracyjne, ale i przez partyjne, interesy mieszkańców byłyby lepiej reprezentowane. Otrzymał za tę wypowiedź długotrwałe oklaski.

Gdy wreszcie przyniesiono plan 1:500 przedstawiciel Inwestprojektu oświadczył, że państwo zebrani na sali mają rację, bo w miejscu domków figurują na planie dwa przedszkola, ale że uzgodniono z kuratorium, by budować jedno na 240 miejsc. Architekt miejski postawił pytanie, czy istniały dokumenty prawne na lokalizację osiedla domków. Odpowiedział sobie, że owszem — istniały. I że najpierw miał być zrealizowany etap pierwszy, widoczny na planie 1:500, potem etap drugi, czyli domki.

— To niech zadanie pierwsze zostanie zrealizowane do końca — rzucono chytrze z sali.

Architekt miejski dodał dalej: Ja dam państwu informację taką, że na dzień dzisiejszy ustalone było, że domki będą realizowane. Pozwolenie na rozpoczęcie budowy jest przygotowane i znajduje się u mnie w szufladzie. Ale zatrzymaliśmy jego podpisanie do ustalenia z państwem waszej zgody.

Gdy stwierdzono ze strony czynników oficjalnych, że domki jednorodzinne przy osiedlu przyczynią się do rozwiązania problemów mieszkaniowych, z sali powiedziano, że skoro tak, to wszystko jedno kto tam będzie mieszkał i że część rodzin z bloków może się do domków przeprowadzić. To stwierdzenie wzbudziło ogólną weselość. Gdyby w tym momencie prezes zgodził się na podobne rozwiązanie, antydomkowe protesty znalazłyby się w ślepym zaułku. Ale prezes przemilczał tę propozycję, więc nieufność rosta, aż skonkretyzowała

się w postulat, by obecni na sali dziennikarze, przedstawiciele dziennika, tygodnika i dwutygodnika, zbadali stan prawny omawianej inwestycji na dziś i że to na pewno jest dzika inwestycja.

Dyskusję i wypowiedzi mieszkańców zakończyć miał sędziwy profesor uniwersytetu. Powiedział on, że dobro ogółu jest ważniejsze niż dobro kilku jednostek. Profesor uważał, że władze powinny iść na rękę mieszkańcom dzielnicy, a zwłaszcza dzieciom. Dlaczego — zapytał — budujemy domki zamiast przedszkoli? Spokojnym, ufnym w swe prawdy głosem, zakończył, że pod oknami bloków powinny być piękne drzewa i zieleń, a nie domki jednorodzinne, co nakazuje dbałość o środowisko naturalne.

Wypowiedź profesora nie zakończyła jednak dyskusji. Ciągłe pojawiały się nad głowami ręce zgłaszających się do głosu. Najbardziej rzeczowo ujął sprawę występujący już przedtem inżynier. Według niego relacje przedstawicieli architektury i spółdzielni wskazują, iż do budowy przystąpiono nieformalnie i że w takim razie architekt miejski winien wyciągnąć wobec budowlanych konsekwencje za wkroczenie na teren bez zezwolenia. Dodał, że stok, gdzie mają stanąć domki, jest idealny na tereny rekreacyjne, że ważne jest przedszkole i sprawa społeczna.

Zebranie przeciągało się, a w sali zrobiło się mroczno, więc zapalono światła i to był znak, że czas kończyć. Dalsza dyskusja nie wydawała się zebranym celowa i ktoś zaproponował, by podjąć ostateczną decyzję. W oczekiwaniu na nią zaproponowano prezesowi, by umiał walczyć o zdrowy rozsądek. Wszyscy oczekiwali, że prezes za chwilę powie tak lub nie.

Ale prezes uśmiechnął się miło i bezradnie.

— Proszę zrozumieć — powiedział — że sprawa ta nie jest prosta dla zarządu spółdzielni oraz dla władz

miejskich. Tak, jak mówiliśmy, w Lublinie jest trudna sytuacja z terenami pod budownictwo mieszkaniowe.

Umilkł na sekundę i starając się patrzeć na wszystkie twarze naraz oznajmił:

— Tutaj popełniliśmy jeden błąd. Trzeba było tę sprawę z państwem omówić, wkroczyliśmy na plac budowy bez uzgodnienia z wami. Ale czas wyjść z kręgu pewnych mitów. Czy państwo wiedzą, ile kosztuje park? Trzysta milionów! — rzucił z naciskiem.

— To co, nie będzie parku? — zapytano z sali.

— Będzie, ale nie szybko.

A na koniec prezes oznajmił:

— Mogę obiecać, że stanowisko państwa zostanie obiektywnie przedstawione władzom.

I wtedy właśnie padło to pytanie postawione zbyt wprost:

— Panie prezesie — zapytała siwowłosa kobieta łagodnym głosem — niech pan nam powie, czy pan popiera nasze stanowisko, czy nie? Żeby się pan potem nie wymigał.

Po zebraniu, gdy już wszyscy się rozchodzili zmęczeni, ale jeszcze rozdyskutowani w grupach, podszedłem do obu architektów, miejskiego i wojewódzkiego, chcąc zadać jedno pytanie, a mianowicie — czy wiedzieli, że budowlani weszli na teren za Osiedłem im. Sienkiewicza?

— Nie — odpowiedzieli obaj.



*współczesny  
reportaż  
polski*

A *Łódź*

ZBIÓR  
REPORTAŻY POD REDAKCJĄ  
EDMUNDA ŻURKA



Krajowa Agencja Wydawnicza

*poker  
o wszystko*

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA  
RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH”  
WARSZAWA 1981

Wydanie I. Nakład 20 000 + 350 egz.

Objętość: ark. wyd. 12,53; ark. druk. 12,22.

Papier drukowy, kl. V, 70 g, B1.

Nr prod. VII-5,1294/77.

Prasowe Zakłady Graficzne,

Katowice, ul. Liebknechta 22.

Zam. 4544/79 O-119. Cena zł 35,—



*poker*  
*o wszystko*

R